

Zaanse Schans - życie w skansenie

Zaanse Schans to mała wioska nad rzeką Zaan. Jej historia zaczyna się około 1600 roku, kiedy to zbudowano tu pierwszy wiatrak, dziś jest żywym skansenem.

Imiona wiatraków

Tutejsze wiatraki zbudowano z różnym przeznaczeniem i nadano im imiona. "Asystent" mieli gorczycę na musztardę, "Różnobarwna załoga" wytwarza olej (a że wiele go potrzeba stąd dzielnie pomaga jej "Wół" i "Poszukiwacz"), "Kot" zamiast łapać myszy mieli pigmenty na farby, zaś "Listek koniczyny" przynosi szczęście pracusiom jako wiatrak tartaczny.

Dziś w wiosce działa 10 wiatraków, w regionie Zaan znajdziemy drugie tyle. To niewiele, wobec ponad tysiąca, jakie pracowały tu XVI wieku. Paradoksalnie miejsce uznawane jako najstarszy region przemysłowy na świecie, dziś jest oazą sielwoskości i tradycji.

Wchodzimy do „Kota” i dostajemy ulotkę o pracy młyna po polsku! Stroma drabina wiedzie nas na piętro. Otwarty taras oferuje pocztówkowy widok rzeki, wiatraków, drewnianych domków i uprawnych pól. Gigantyczne żarna miały majestatycznie pigment na kolorowy proszek. Nagle uświadamiam sobie, że przecież szaleństwo kolorów jakie dziś jest nam dostępne, to wynalazek ostatniego wieku i wykorzystania chemii. Wcześniej wszystko opierało się na naturalnych barwnikach pochodzących z roślin lub... skał. I to właśnie z nimi mocuje się teraz nasz „Kot”, choć robi to już tylko na pokaz. Za to efekty pracy „Asystenta” można zabrać ze sobą na pamiątkę. Musztarda w słoiczkach ozdobionych rysunkiem wiatraka i dumnym napisem: „Ręcznie robione w Zaanse Schans” cieszą się sporym zainteresowaniem. Tu „slow food” w naturalny sposób istnieje od zawsze.

Zaanse Schans - żywy skansen

W jednej z zagród powstają sery. Kobieta w zamaszystej spódnicy niesie w wiadrze mleko. Błyskają flesze: więc tak się to robi? Wystarczy trochę cierpliwości i pracy, i już mamy pyszny żółty ser? Degustacja prawie zawsze kończy się zakupem.

– Jak mi się tu mieszka? Normalnie – kobieta wyrabiająca ser na chwilę przerywa pracę. – Wiesz co, w ogóle mi nie przeszkadzają te tłumy na co dzień. Za to mam poczucie, że jestem łącznikiem teraźniejszości z przeszłością. I strasznie się cieszę, że tylu ludzi chce zobaczyć nasz świat.

Dziś jest nieco pochmurno, środek tygodnia i dopiero kwiecień, a i tak odwiedzających nie brakuje. Co się tu dzieje w sezonie wolę nie myśleć, jako że rocznie trafia tu blisko milion turystów! Tym co odróżnia Zaanse Schans od typowego skansenu to jego mieszkańcy. Nie pracownicy muzeum, przebrani w stylowe stroje, lecz ludzie żyjący tu od pokoleń. Dziś sprzedający opowieść o niezwykłym miejscu spragnionym autentyzmu turystom.

Życie na pokaz

Spacerujemy po wiosce. W kanałach kąpią się kaczki, przy drodze pasą owce. Przez okna domków widać ich wnętrza. W Holandii nie zasłania się ich, bo przecież uczciwy człowiek nie ma nic do ukrycia a „Bóg i tak widzi wszystko”. Jednak tak naprawdę nie zobaczysz nic, bo życie towarzyskie Holendrzy wiodą poza domem: w pubie, kościele czy pracy. Zarówno w miastach, gdzie kamienice budowano jedną obok drugiej, jak i w wioskach, sąsiedzi wiedzą o sobie wszystko. Tym skrzętniej chroni się prywatność, choć jednocześnie do perfekcji opanowano tu życie na widoku. W przypadku Zaanse Schans życie toczy się niczym na scenie obserwowanej nieustająco przez tłumy widzów dookoła.

Historia na wyciągnięcie dłoni

Widzimy więc jak między domami spacerują koty, kobiety pielęgnują ogródki, a dzieci uczą się do lekcji. Być nie przypadkiem najstojniejsza reality show w telewizji "Big Brothera" powstało właśnie w Holandii. A twórców mogła zainspirować zarówno wizyta w takim miejscu jak po prostu chęć zobaczenia co naprawdę dzieje się za szeroko otwartymi oknami.

– By tu żyć, trzeba po prostu lubić ludzi – odpowiada mi mężczyzna prowadzący sklep ze starociami. Ma poczucie, że to wielki przywilej być członkiem tej niezwyklej społeczności. Mieć historię na wyciągnięcie ręki a nawet ją tworzyć. Bo tu chleb kupuje się w 'In de Gecroonde Duyvekater', piekarni w domu z 1658 roku o dziewiętnastowiecznym wnętrzu. Przy okazji po raz pierwszy odkrywam tajemnicę sukcesu Zaanse Schans. Otóż ten dom, tak doskonale pasujący do otoczenia, został tu przeniesiony w 1970 roku z uliczki Hazepad w Zaandijk. Po drugiej stronie rzeki. Tam, gdzie dziś toczy się współczesne życie.

Sklepek, który zapoczątkował imperium

– Czy wiesz, że pierwszy sklep Alberta Heijna był właśnie tutaj?

To prawda. W Ostzaan, zaledwie 5 km od Zaanse Schans, pełen energii młodzieniec Albert Heijn przejął od rodziców sklep. Był rok 1887, towary kolonialne podbijały serca Holendrów, zaś Albert miał nosa do interesów. Skromny sklepek stał się początkiem wielkiego imperium, dziś supermarkety „Albert Heijn” znajdziemy dosłownie w każdym mieście Holandii. Za to w wiosce możemy zobaczyć odtworzone wnętrze tego pierwszego sklepu.

Stylowe puszki i słoje, staroświeckie miarki nakładają towary do papierowych toreb, które trafiają na wagę z szalkami. Zapach przywodzi na myśl „Sklepy cynamonowe”, a każdy chce wyjechać stąd bodaj z uncją makaronu, funtem masła, czymkolwiek, co pozwoli na dłużej zachować wspomnienie o tym miejscu.

Drewniane saboty

Po całym dniu chodzenia nie czuję już nóg. A tu jeszcze pracownia sabotów! Trzeba zajrzeć, tym bardziej, że dochodzący z wnętrza huk świadczy iż pokaz ich wyrobów właśnie się rozpoczął. Mężczyzna w fartuchu z wprawą obraca kawałek drewna, pokazuje wyrysowany na nim plan chodaka, wkłada go w maszynę i już po chwili lecą wióry na boki a klocek zmienia się w sabota. Po takiej prezentacji nie sposób nie skusić się na buciki na pamiątkę. W gablocie widzimy oryginalne, stare wyroby. Jedne prościutkie, drewniane, inne ozdobne, noszone od święta.

Przed warsztatem stoi olbrzymi chodak, obok widać wielkie saboty. Synkowie próbując w nich chodzić.

– Ale to nie są prawdziwe buty? – upewnia się Michaś.

– Te nie, ale te w warsztacie to ludzie naprawdę nosili.

– Za karę? – pyta dziecię, któremu w głowie się nie mieści, że kiedyś świat wyglądał zupełnie inaczej.

Chatka rosyjskiego cara

W okolicy jest jeszcze jedno miejsce warte odwiedzin. W niedalekim Zaandam mieszkał rosyjski car Piotr I, uczący się tutaj szkutnictwa. Rozglądam się za drewnianym domem. Sytuacja idiotyczna: przemierzam uliczkę raz i drugi, a drewnianej chatki ani śladu. Coś poplątałam? Wreszcie pytam przechodnia i okazuje się, że tak ważny zabytek został obudowany drugim domem. Niczym rosyjska babuszka drewniany skrywa się w murowanym. Mijałam go już ze trzy razy!

Wchodzę do środka i oczom nie wierzę. Zestawienie majestatu władcy Rosji z tą mizerną chatką jest naprawdę szokujące. Niemiłośnierne krzywe ściany trzymają się razem już tylko dzięki specjalnym metalowym sztabom. Wchodzę do środka i widzę carską sypialnię. W rzeczywistości to niewielka wnęka, bardziej przypominająca... szafę niż łożo.

– Taki słynny człowiek, a tak skromnie mieszkał – cmokają z podziwem turyści z Rosji.

Zaprawdę car Piotr I był wielkim człowiekiem!

(c) Anna Olej-Kobus | AfrykAnka.pl

Więcej inspirujących opowieści znajdziesz w moich książkach: [Namibia. Przez pustynię i busz](#) oraz [USA. Droga 66 i Dziki Zachód](#) do kupienia z autografem w sklepie www.namib.pl

*Kupując w naszym sklepie NAMIB.pl wspierasz prowadzenie blogów:
AfrykAnka.pl oraz TravelNamibia.pl*